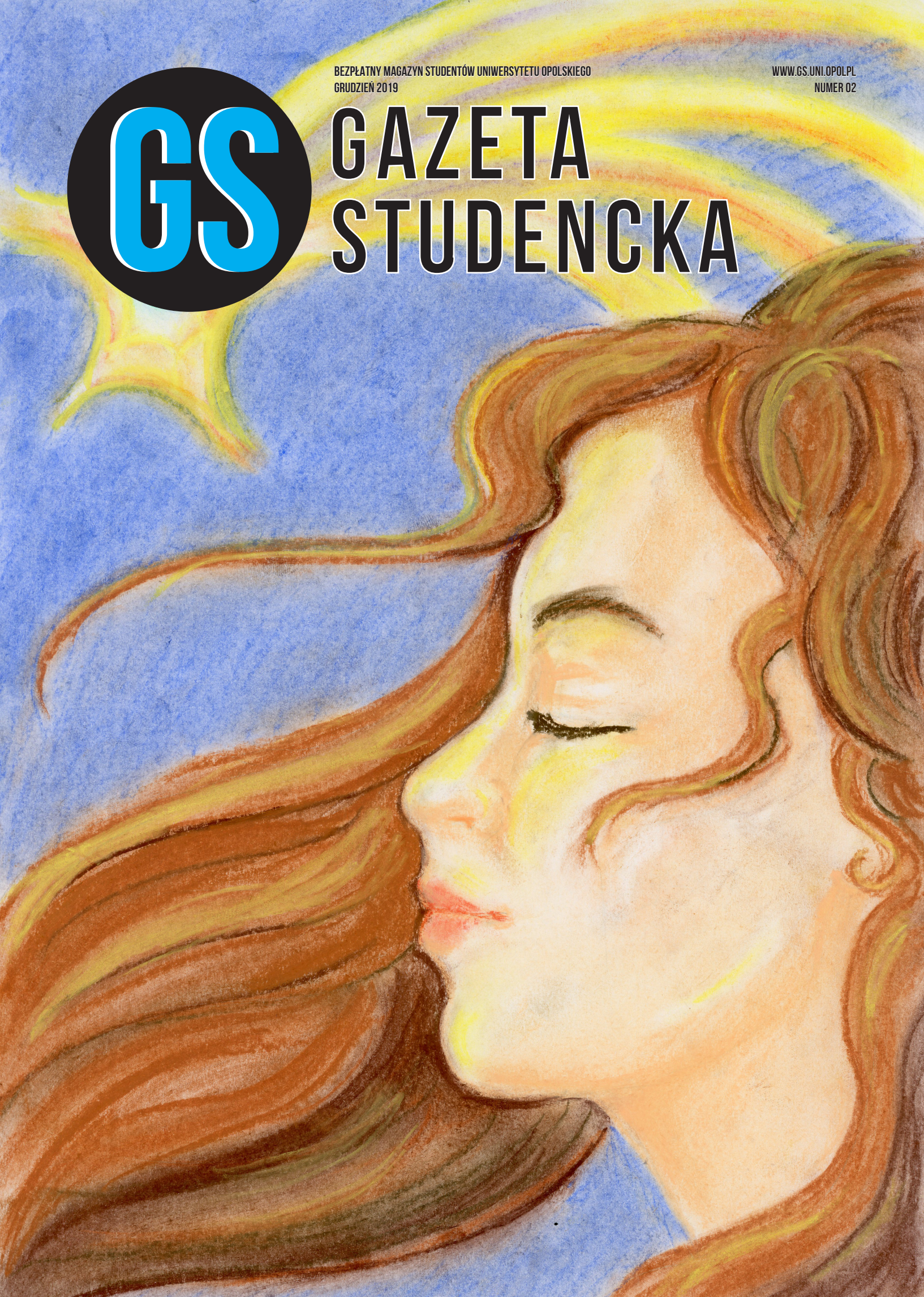


BEZPŁATNY MAGAZYN STUDENTÓW UNIwersYTETU OPOLSKIEGO
GRUDZIEŃ 2019

WWW.GS.UNI.OPOL.PL
NUMER 02



GAZETA STUDENCKA



WSTĘPNIAK

Kiedy to zleciało? Dopiero co rozpoczął się rok akademicki, nowi studenci poznawali uczelnię i ludzi, a czas zdawał się mijać jakoś wolniej. Teraz widać jednak, że studia to rwąca rzeka, która płynie i płynie, a końca nie widać.

Mamy nadzieję, że akademicki grudzień zleci Wam równie szybko, i wszyscy będziecie mogli spokojnie spędzić święta, które mogłyby trwać wiecznie (prawda?). Odpocząć, przystanąć choć na moment, pobyc z rodziną i trochę pojeść, a potem wrócić pełni energii i motywacji do dalszego działania, bo przecież sesja będzie za pasem.

Nie ma się jednak czym przejmować, przynajmniej nie teraz. O zmartwieniach pomyślimy później. Trzeba cieszyć się chwilą terazniejszą, bo nigdy nie wiadomo, kiedy nam ucieknie.

Mamy nadzieję, że grudniowy numer rozgrzeje Wasze serca dziekanatowymi anegdotami, które wprowadzą trochę humoru (choć pewnie bez kiwania głową się nie obędzie). W wyczuwalnym wszędzie wokół klimacie końca roku pragniemy przybliżyć Wam tematykę kresu życia, a dokładniej mentalne przeżycie śmierci, o których mówiono na warsztatach z umierania. Czy na śmierć można się przygotować - tego dowiecie się później, a na ten moment mamy dla Was małe przypomnienie. Sesja wcale nie musi być taka przerażająca. W tym numerze znajdziecie także parę rad, jak oswoić stres oraz przedłużyć ten nerwowy czas na swoją korzyść, by być w stanie choć trochę lepiej sobie ze wszystkim poradzić. Życzymy dużo wytrwałości i zapału!



Ela Burdzik
Redaktor Naczelna



Patrycja Drabik
Wiceredaktor Naczelna

GRUDZIEŃ 2019 - SPIS TREŚCI

02	08	14
WSTĘPNIAK	CHIŃSKIE KRZACZKI	RANKING KRYMINAŁÓW
03	09	15
RADY:PRZEDŁUŻANIE SESJI	STRES	NAJBARDZIEJ NIETRAFIONE PREZENTY
04	10-11	16
O DZIEKANACIE	W INNYM SPOJRZENIU	KALENDARIUM
05	12	
WYCINKI Z PRASY	OKIEM EKONOMISTY	
06-07	13	
TYLKO TEN JEDEN RAZ	ŚLADAMI TRÓJCY	



RADY SESYJNE

Wielkimi krokami zbliża się do nas moment, który wzbudza w studentach skrajne uczucia – sesja. Dokładnie pamiętam, gdy będąc jeszcze w liceum znajomi straszli mi, jak trudna ona nie jest i ile wysiłku nie trzeba włożyć, by zdać egzaminy. Jednak nie taki diabeł straszny jak go malują i teraz, zaliczając już dwa semestry, śmiało mogę stwierdzić, że systematyczna nauka i dobre rozplanowanie zajęć jest kluczowe.

Sesja egzaminacyjna, czyli tak zwany pierwszy termin, trwa co najmniej 14 dni, a ten poprawkowy - 7, wliczając w to także soboty i niedziele. Liczba egzaminów nie może być większa niż 8 na cały rok. Przy czym w semestrze zimowym zmierzyć możemy się z ilością maksymalnie 4 egzaminów, a 5 w letnim.

Warunkiem przystąpienia do egzaminu jest zaliczenie ćwiczeń. Jeśli studentowi nie uda się uzyskać oceny dostatecznej, pierwszy termin przepada, jednakże nie oznacza on oceny niedostatecznej. Termin ten traci też każdy, kto nie przystąpił do egzaminu i nie przedstawił usprawiedliwienia uznanego przez dziekana.

Jednak głowa do góry! Jeśli znajdujecie się w sytuacji,

gdy nie mogliście dotrzeć na egzamin z różnych przyczyn – możecie przywrócić jego termin. Musicie tylko do końca sesji poprawkowej złożyć wniosek o przywrócenie terminu do Dziekana z uzasadnieniem i, jeśli zostanie on pozytywnie rozpatrzony, ustalić termin egzaminu na nie dłuższy niż dwa tygodnie po podjęciu decyzji. Jeżeli zaś do końca sesji zostało kilka dni, a czekacie jeszcze na odpowiedź, warto złożyć podanie o przedłużeniu sesji poprawkowej. Jeżeli jednak nie uda wam się zaliczyć egzaminu i ocenę uważacie za krzywdzącą – zawsze możecie złożyć wniosek o jego komisyjne zdawanie. Wniosek taki należy złożyć nie później niż siedem dni od momentu niezaliczenia przedmiotu.

Pamiętajcie jednak, że istnieje także możliwość uzyskania wpisu warunkowego, który można uzyskać na wniosek studenta, a w konsekwencji uprawnia to do zaliczenia danego przedmiotu w okresie wskazanym w decyzji o wpisie warunkowym. Jednak zaliczyć go należy nie później niż do końca semestru piątego – na studiach pierwszego stopnia, trzeciego semestru – na studiach drugiego stopnia i dziewiątego semestru – na jednolitych studiach magisterskich. Opłata taka wynosi 70 złotych za jeden punkt ECTS.



rys. Maja Perdun

O DZIEKANACIE

PANIE Z DZIEKANATU NA STRAŻY ZASAD JĘZYKA POLSKIEGO!

Na Uniwersytecie Opolskim na każdym szczepku dba się o poprawność językową. Dowiodły tego panie z dziekanatu, które nie wydały studentowi dyplomu, ponieważ drugi człon nazwy miasta, w którym się urodził, był napisany z małej litery!

Całość działa się na opolskiej wszechnicy w okresie wakacyjnym. Po etapie obron prac dyplomowych do dziekanatu zgłosił się student. W pocie czoła, sumiennie, nie bez uszczerbku na zdrowiu (gdyż często pracował do białego rana, zaniedbując przy tym relacje towarzyskie, uczuciowe i rodzinne), udało mu się napisać pracę licencjacką i z pełnym sukcesem obronić się na ocenę bardzo dobrą.

Zgodnie z regulaminem, chciał odebrać dyplom poświadczający jego wykształcenie.

– Bardzo cieszyłem się na ten dzień. Rodzina wyprawiła przyjęcie, a później wraz z przyjaciółmi mieliśmy uczcić mój sukces – relacjonuje Bartosz K., „ofiara” sytuacji.

Niestety, plany nie mogły zostać zrealizowane. Po wejściu do gabinetu okazało się, że dyplom nie może zostać wydany ze względu na błąd, który został popełniony przy uzupełnianiu niezbędnych danych.

Jak wspomina jedna z pracownic dziekanatu, obecna przy sytuacji:

– Procedura poprzedzająca ocenę prawidłowości i wykonania czynności ustalenia poprawnego wpisania wszelkich danych do dokumentu poświadczającego wykształcenie studenta wykazała szereg nieprawidłowości i proces wydania dyplomu musiał zostać wstrzymany.

– Jeszcze ktoś pomyśli, że Uniwersytet zwariował – dodaje druga.

Jak ustaliliśmy, błąd polegał na wpisaniu jednego z członów nazwy miasta urodzenia studenta z małej litery. Pikanterii całej sytuacji dodaje fakt, że nie wiadomo, która ze stron popełniła ten kardynalny błąd.

Podobno władze uczelni wystosowały specjalne pismo, stanowiące o odznaczeniu bohaterskich pań, które stoją na straży naszego ojczystego języka. Póki co jednak brak oficjalnych informacji w tej sprawie.

Nie dość jednak na tym, bo w całej tej sytuacji nikt nie pomyślał o studencie, który koniec końców dyplomu w owym dniu nie otrzymał. Okazało się, że cała procedura tworzenia dokumentów musi zostać powtórzona, co równa się okresowi dwóch tygodni, koniecznością wyrabiania nowych zdjęć i ponownemu zanoszeniu ich do dziekanatu.

– Byłem załamany. Rodzice wzięli mnie za oszusta, który przez trzy lata żył na ich rachunek, nie studiując, a przyjaciele musieli spędzić ten dzień na trzeźwo i nie odzywali się przez kolejny miesiąc – zwierza się student naszemu reporterowi.

Trudno się dziwić. Cały autorytet i szacunek, na który pracował latami, został zrujnowany.

Sytuacja stała się bardziej skomplikowana następnego dnia. Zbliżał się końcowy termin rekrutacji na studia II stopnia, na które Bartosz K. miał zamiar się zarejestrować. Okazało się, że bez skanu dyplomu jest to niemożliwe. Po szeregu wykonanych telefonów i wizyt udało się jednak sprawę załatwić pomyślnie. Dyplom szybciej wydany nie został, ale Bartoszowi K. udało się dostać na studia magisterskie.

Finalnie do odznaczenia pracownic dziekanatu nie doszło. Podobno wywołało to szerokie niezadowolenie w ich gronie. Od tego momentu będą jeszcze bardziej restrykcyjne w stosunku do studentów i pilniejsze w wykonywaniu swoich obowiązków, z nadzieją wypatrując przyszłych odznaczeń.

Dialogi i postacie są w tekście zmyślone, ale cała historia jest oparta na faktach

TEKST: WIKTOR WANIOWSKI



Niecodzienna oferta pracy

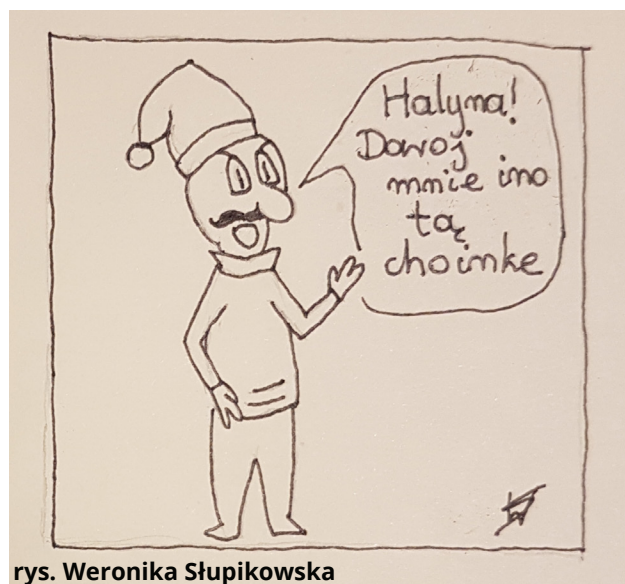
Szukasz źródła zarobku i nie straszne są Ci minusowe temperatury? To coś w sam raz dla Ciebie! Punktem docelowym jest biegun północny! Jak podaje portal „Dziennik Naukowy”, IGF PAN - Instytut Geofizyki Polskiej Akademii Nauk obecnie przeprowadza nabór do 43. Wyprawy Polarnej do Polskiej Stacji Polarnej Hornsund, znajdującej się na norweskiej wyspie Spitsbergen. Okres pracy rozpoczyna się w czerwcu 2020 roku, a kończy się w lipcu 2021 roku. Niestety poszukiwani są jedynie specjaliści z szerokim zakresem doświadczeń, co zapewne wykluczy sporą część zainteresowanych. Nie podlega wątpliwości, że nawet spełniając kryteria potencjalnego pracownika, decyzja o podjęciu tego typu pracy nie należy do łatwych. Czy zdobyte dzięki temu środki finansowe naprawdę są warte tych wszystkich zużytych chusteczek higienicznych?

Wydrukowana skóra

Nie od dziś wiadomo, że skóra to jeden z najważniejszych organów. Stanowi ona około 16% masy ciała człowieka i pełni wiele istotnych funkcji. Przy złożonej strukturze, którą się cechuje, jej wyprodukowanie wydawać by się mogło niemożliwe, a jednak! Jak podaje wcześniej już wspomniany „Dziennik Naukowy”, został opracowany sposób wytwarzania żywej skóry wraz z naczyniami krwionośnymi za pomocą technologii druku 3D. Dokonali tego naukowcy z nowojorskiego Rensselaer Polytechnic Institute. Metoda ta opiera się na tworzeniu biotuszów wyprodukowanych za pomocą komórek śródbłonna, kolagenu zwierzęcego oraz innych komórek strukturalnych. Aby sprawdzić jej skuteczność, przeprowadzono eksperymenty na myszach. W wyniku tych badań zaobserwowano, że po upływie zaledwie kilku tygodni żywa skóra zaczęła rozwijać struktury naczyń krwionośnych. Na razie całe przedsięwzięcie jest w fazie testowej, jednak być może już w niedalekiej przyszłości za jego pomocą będziemy w stanie pomóc ofiarom wypadków i poparzeń. To wszystko uzmysławia nam, jak wielkich i wspaniałych osiągnięć mogą dokonać ludzie. Jako gatunek nieustannie się rozwijamy i dążymy do ciągłego poszerzania naszych horyzontów. Być może wydrukowana skóra jest pierwszym krokiem do produkcji syntetycznych części ciała.

Uśmiech proszę

Nasz kraj również może popisać się nowinkami technologicznymi. Nie mają one jednak nic wspólnego z syntetycznymi organami. Jak podaje portal „Rzeczpospolita”, w niektórych oddziałach banku PKO BP znajdziemy urządzenia, których zadaniem jest monitorowanie, czy pracownicy obsługujący klientów są uśmiechnięci. Sprawdzaniu podlegają także uśmiechy klientów odwiedzających placówkę. Ta niecodzienna metoda badania satysfakcji może zostać odebrana jako naruszenie prywatności. Banki zapewniają jednak, że zarówno pracownicy, jak i klienci są informowani o zaistniałej sytuacji, a uczestniczenie w przedsięwzięciu wiąże się z wcześniejszym wyrażeniem zgody. Ponadto za brak uśmiechu nie ma żadnych konsekwencji, więc pracownicy, którzy mają gorszy dzień, mogą odetchnąć z ulgą. Przedsięwzięciu towarzyszy również szczytny cel. Za każdy uśmiech klienta zostaje przeznaczona drobna kwota na lokalny cel charytatywny. Zapewne jest to dosyć inwazyjny sposób przeprowadzania analizy, ale być może w tej kwestii należałoby dać bankom pewien kredyt zaufania.



rys. Weronika Słupikowska

TEKST: WERONIKA SŁUPIKOWSKA

TYLKO TEN JEDEN RAZ

Śmierć jest tematem dotyczącym nas wszystkich, jednak nie lubimy o niej rozmawiać, co, jak się okazuje, przysparza wiele niepotrzebnych zmartwień. Czy w ogóle możemy się na nią przygotować? Czy warsztaty z umierania są jednym ze sposobów? Wygląda na to, że chodzi w nich o coś nieco innego. Katarzyna Boni, która przywiozła je ze sobą do Polski, opowie, z czym się tak naprawdę wiąże.

Jak zaczęła się Pani przygoda z Azją?

Przez przypadek. Miałam 21, może 22 lata i marzyłam, żeby spędzić wakacje w Nowym Jorku. Wyobrażałam sobie, że wieczorami będę pracować jako kelnerka, a rankami pisać książki. Naoglądałam się za dużo amerykańskich filmów. Szybko okazało się, że jeżeli nie mam pracy, to nie mogę dostać wizy, a bez niej nie mogę wynająć mieszkania. Musiałam zmienić plany. Miałam trzy miesiące wolnego i niewiele pieniędzy. Z moim ówczesnym partnerem stwierdziliśmy, że pojedziemy do Indii. Jego rodzice byli tam w latach 80 - tych. Tak trafiłam do Azji. Wcześniej myślałam, że będę jeździć do Ameryki Południowej; uczyłam się hiszpańskiego, czytałam literaturę iberoamerykańską, tańczyłam tango. I koniec końców nigdy tam nie trafiłam. Azja stała się ważniejsza. Na początku zwiedzałam ją jak turystka: włączyłam się po Indiach, Chinach, Azji południowo-wschodniej. Z czasem zaczęło brakować mi czegoś głębszego. Kiedy piękne widoki się opatrzyły, zaczęłam pisać o ludziach. Z tekstów podróżniczych przerzuciłam się na reportaże i książki. Ponad piętnaście lat po pierwszym wyjeździe do Azji ciągle jestem z nią związana. Coraz częściej zdarza mi się spędzić tam większą część roku.

Jak uczyła się Pani języka za granicą? Czy było ciężko? Polegało to na siedzeniu przy książkach czy jednak szła Pani na „żywioł”?

Na studiach z ciekawości kilka razy zaczynałam naukę japońskiego. Jednak szybko nudziło mnie coś, co nie miało przełożenia na praktykę... Kiedy zaczęłam jeździć więcej do Japonii, osłuchałam się z językiem na tyle, że mogłam prowadzić prostą rozmowę. Nauczyłam się też pięciuset kanji, żeby orientować się w metrze i w restauracji. Jednakże moja znajomość japońskiego jest nieduża, nie odważyłabym się przeprowadzić wywiadu z Japończykiem, który doświadczył straty bliskich w tsunami. Nawet zagraniczni dziennikarze, którzy mówili płynnie w języku japońskim, kiedy przeprowadzali wywiady na temat emocji, żałoby i straty, mieli swoich tłumaczy.

Czy próbowała Pani jakichś japońskich potraw?

Oczywiście! Dla Japończyków jedzenie jest bardzo ważne, nigdy nie odmawiam, kiedy mnie częstują. Dzięki temu próbowałam takich rzeczy jak grillowane nasieniowody ryb. Bardzo smaczne. To, że jestem otwarta na japońskie smaki, często pomaga mi przełamać lody podczas wywiadów.

Czy Japończycy podchodzą mistycznie do „warsztatów z umierania”? Boją się ich? Czy klęski spowodowały, że tematyka śmierci jest szczególnie ważna w tym kraju?

Kiedy jechałam do Japonii, aby napisać książkę „Ganbare! Warsztaty umierania”, to miałam teorię, że z powodu tylu katastrof (wybuchy wulkanów, tajfuny, lawiny błotne, trzęsienia ziemi, tsunami) ludzie lepiej zdają sobie sprawę z kruchości życia i potrafią się nim bardziej cieszyć. Dobrym przykładem tego zachowania jest Hanami, czyli oglądanie przez Japończyków kwitnących wiśni i zachwyty nad ich ulotnością. Okazało się, że moja teoria była zachodnio-



zdj. Anna Janowska

centryczna; wymyśliłam sobie, że mają inną wrażliwość. Szybko okazało się, że się myliłam. Japończycy nie siedzą całymi dniami, rozmyślając o śmierci i doceniając mijającą chwilę. Jesteśmy tacy sami i tak samo odsuwamy od siebie świadomość własnej śmiertelności, a piękno życia gubimy w pozornie nudnej codzienności. Ludzie nie zaczynają dnia od myśli to jest nasz ostatni dzień”, a kończą go, pijąc piwo za to, że „jednak udało nam się przeżyć” – ani u nas, ani w Japonii. Ale to prawda, że w japońskiej kulturze silny jest temat ulotności życia. Jednym z moich ulubionych japońskich konceptów jest *ichigo ichie* (tylko ten jeden raz). Wiąże się ono z ceremonią picia herbaty. Jest to ceremonia w której gospodarz zaprasza gości do pawilonu herbacianego w ogrodzie. Całe spotkanie kręci się wokół konkretnego tematu – związanego z porą roku, z jakimś świętem, poematem, który zachwyił gospodarza. Pod temat dobierane są: kwiaty w specjalnej wnęce, cytaty zawieszane na ścianie, zastawa, potrawy. W oczekiwaniu na posiłek goście rozmawiają ze sobą – gospodarz starannie przemyślał, kogo zaprosi. Całe wydarzenie jest wyjątkowe. Gdyby ci sami goście spotkali się w tym samym miejscu za rok, gdyby gospodarz przygotował ten sam temat i podałyby te same dania, a rozmowa toczyłaby się w ten sam sposób – i tak wszystko byłoby już inne. Nie da się odtworzyć tego samego wieczoru. I to właśnie jest „Ichigo ichie”. Jutro będziemy już innymi ludźmi. Ulotność, doświadczanie chwili są wpisane w kulturę Japonii. Ale nie znaczy to, że Japończycy nieustannie rozmyślają o śmierci.

Czy w Azji „warsztaty z umierania” są jakoś bardziej popularne, rozwinięte?

Zetknęłam się z nimi tylko w Japonii, a i tam nie są one jakoś

bardzo popularne. Zaczął je prowadzić mnich Tetsuya Urakami z Yokohamy w 2011 albo 2012 roku. Zainspirowały go podobne warsztaty prowadzone w amerykańskich hospicjach. Zaadoptował je na własne potrzeby. Z czasem zgłosili się do niego mnisi, którzy też chcieli je prowadzić. Kiedy w nich uczestniczyłam, Urakami mówił, że w jego warsztatach wzięło udział może około dwóch tysięcy osób. Zainteresowanie nimi jest duże, ale to nie jest tak, że cały naród chodzi na warsztaty umierania.

Jak Polacy reagują na „warsztaty z umierania”?

Zazwyczaj są bardzo zaciekawieni, wiele osób chce wziąć w nich udział. To naprawdę świetna okazja do spotkania się z samym sobą. Jednak niektórzy, gdy o nich słyszą, mówią że to nie dla nich. Dobrze, że stawiają granice, w warsztatach nie powinno się brać udziału pod przymusem, ale też czasem warto przyjrzeć się lękowi, który towarzyszy tematowi umierania. Niedawno napisałam tekst do „Książki. Magazyn do czytania” o tym, dlaczego w naszym społeczeństwie śmierć jest tabu i jak dużo tracimy przez to, że o niej nie rozmawiamy. Właśnie wyszła w Polsce książka Michaela Hebb’a „Porozmawiajmy o śmierci przy kolacji”. Hebb pisze, że głównym powodem bankructw w Stanach jest to, że ludzie nie powiedzieli sobie przed śmiercią, do którego momentu chcą „przedłużyć życie” i jaki chcą mieć pogrzeb. Rodziny wykosztowują się więc, często żeby stłumić poczucie winy, i zaciągają kredyty, których później nie mogą spłacić. A przecież wystarczyło porozmawiać... Brak tej rozmowy powoduje nie tylko straty finansowe, ale przede wszystkim ogromne straty emocjonalne.

Jak to się stało, że zaczęła się Pani interesować śmiercią?

Śmierć interesuje mnie jako trauma tych, którzy zostali, a nie jako sam moment śmierci albo to, co przychodzi po niej. Interesuje mnie żałoba i to, jak ludzie próbują przeżyć ciężkie trudne emocje, poradzić sobie ze stratą, która nieraz zmienia całe życie. Japońskie tsunami z 2011 roku zabrało ludziom wszystko. Nie tylko męża, żonę, dzieci, rodziców, dziadków, ciotki, wujków, przyjaciół i ukochane zwierzęta. Również domy, łóżka, biurka, książki, albumy ze zdjęciami: wspomnienia, marzenia i plany na przyszłość. Zazwyczaj, kiedy ktoś odchodzi, to coś po nim zostaje: jakieś drobiazgi, które możemy przechowywać. A tu strata była totalna. Interesowało mnie, jak można sobie z tym poradzić.

Na czym polegają warsztaty z umierania, których celem jest jednak przygotować człowieka na tę śmierć, odejście bliskich, jak to wygląda?

To nie jest tak, że na śmierć można się przygotować. Można rozmawiać o umieraniu z bliskimi, można napisać swój własny testament, można przejść warsztaty umierania – choć one są bardziej o życiu niż o śmierci. To na pewno ułatwi, ale nie sprawi, że nie będziemy odczuwać żadnych emocji, gdy odejdzie ktoś nam bliski, albo gdy sami usłyszymy złą diagnozę... Te emocje są zdrowe i potrzebne, i absolutnie nie chodzi o to, żeby się ich pozbyć. Są konieczne, żeby móc pożegnać bliską osobę i pogodzić się z jej stratą, ale też utratą pewnej części siebie, która odchodzi razem ze zmarłym. Te wszystkie wyżej wspomniane rzeczy pozwalają jedynie przejść przez emocje bardziej świadomie.

Jak wspomniałam, same warsztaty umierania tak naprawdę więcej mają wspólnego z życiem niż z umieraniem. To prawda, są symulacją umierania, ale ich celem jest odzyskiwanie radości życia. Podczas ich trwania opowiadam historię śmiertelnie chorej osoby. Uczestnicy słuchają historii i we wskazanych przeze mnie losowych momentach pozbywają się wcześniej wypisanych na karteczkach, ważnych dla siebie rzeczy. Dokładnie tak, jak w życiu. Nie wiadomo, co się wydarzy jutro. Na pewnym poziomie łączy się to z *Ichigo ichie*. Skoro nie wiemy, co będzie jutro, a już dzisiaj mamy przy nas

ważne dla nas osoby i rzeczy, to zacznijmy to doceniać tu i teraz. My naprawdę jesteśmy bardzo bogaci. Mamy niesamowitą ilość relacji, pasji, miłości, zachwyty, a tak często zupełnie tego nie widzimy. Warsztaty umierania pomagają nam dostrzec otaczające nas bogactwo.

Warsztaty sprawiają, że niektórzy decydują się na naprawdę odważne kroki, na przykład oświadczają się drugiej połowie.

Ludzie dochodzą do wniosku, że jeśli jako to, co w życiu najważniejsze, została im ukochana osoba, to... na co czekać? Jedna z moich znajomych, miesiąc po warsztatach zostawiła pracę i wyjechała na studia. Rozważała tę decyzję od dawna, warsztaty przeważyły szalę. One nie zawsze muszą nieść ze sobą aż tak poważne życiowe zmiany. Wystarczy, że pozwalają człowiekowi zorientować się w tym, co naprawdę jest dla niego ważne. Może ktoś na kartce wpisał ojca, z którym dawno nie rozmawiał i teraz będzie częściej do niego dzwonić? A może nic nie zmieni w swoim życiu, ale będzie czerpał większą radość z tego, co już ma. Warsztaty pokazują, że już teraz mamy wokół siebie ludzi, marzenia i pasję, które są dla nas ważne, mamy do tego dostęp teraz – nie musimy na nic więcej czekać. Dobrze jest też powtarzać sobie raz na jakiś czas takie warsztaty, bo priorytety się zmieniają. Dobrym przykładem są narodziny dziecka.

Co Panią najbardziej uderzyło, zszokowało, kiedy porównała Pani swoje założenia odnośnie Azji z rzeczywistością?

Jeźdź do Azji od tak dawna, że już nie pamiętam tych pierwszych wrażeń. Czasem bardziej szokuje mnie Europa, zwłaszcza świeżo po powrocie z Azji, w której często czuję się po prostu lepiej.

Chodzi o atmosferę, podejście społeczeństwa?

Chodzi o słońce. *śmiech* To temat na oddzielną rozmowę. Jednakże mogę opowiedzieć o drobiazgu, który ostatnio zwrócił moją uwagę. Przez rok mieszkałam w Indiach, w bardzo specyficznym miejscu, w lesie niedaleko morza. Po tem spędziłam kilka miesięcy na Bali – gdzie prawie w ogóle nie ma reklam. I dopiero po powrocie do Warszawy zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo uspokajał mnie ten brak reklam, kolorowego jazgotu i totalnego miszmaszu. Bilbordy, ogłoszenia, plakaty – tego jest tyle, że po pół godzinie na mieście byłam zmęczona, a mój mózg przebodźcowany.

Skąd wzięła się niechęć do Indii?

Podobno jest tak, że albo się Indie kocha, albo nie nawidzi. Ja po pierwszym pobycie byłam z tej drugiej frakcji, ale po spędzonym tam dłuższym czasie już nie mogę powiedzieć o sobie ani jednego, ani drugiego. Kiedyś wyśmiałabym każdego, kto powiedziałby mi, że będę mieszkać w tym kraju przez rok. Przeszkadza mi hałas, męczą mnie zapachy. Ja jestem bardziej japońska, lubię minimalizm, również w bodźcach. A w Indiach tych jest aż nadto: wszystko jest ostre, kolory są jaskrawe, światło zbyt jasne, hałas – ogromny. Jestem introwertyczką, łatwo się przebodźcowuję, więc życie w Indiach to dla mojego organizmu duży wysiłek. Ale nauczyłam się je doceniać i cieszyć życiem tam.

Co mogłaby nam Pani poradzić?

Nie bójcie się śmierci, cieszcie się z życia - po prostu.

*Dłuższa wersja wywiadu dostępna na stronie:
www.gs.uni.opole.pl*

CHIŃSKIE KRZACZKI - HODOWLA I PIELEGNACJA

Zima za pasem, a początek zimy oznacza początek przerwy świątecznej. Choć magia świąt dopisuje już od listopada, nie dajmy się nią otumanić. Albowiem pewnego dnia znikną bombki i lampki, a dym z fajerwerków opadnie. Nim się obejrzymy, poczujemy na karkach ohydny oddech bestii o wielu łbach – sesji. W przypadku wielu z nas jedna z jej głów to egzamin z chińskiego.

Aby pokonać hydrę, trzeba ją nakarmić. Ten konkretny pysk preferuje tak zwane krzaczkki. Musimy więc wyhodować odpowiednią ilość krzaczków – im więcej, tym bardziej udobruchamy bestię. Właśnie, jak sprawić, by się przyjęły i nie uschły, nawet gdy będzie już po wszystkim? Głowiąc się nad odpowiedzią, znalazłam kilka sposobów uczenia się chińskich znaków, które przedstawię właśnie tutaj. Być może dzięki temu niektórzy nie będą zmuszeni stawiać do boju z pustymi rękami.

Jedne metody stosują amatorzy chińskiego tacy jak ja, inne zalecane są przy ogólnej czynności uczenia się, nie tylko języków. Nie tyle ważne jest zaliczenie każdej po kolei, ile odnalezienie takiej, która faktycznie pomaga w nauce.

Dotrzyj do źródła. Pod względem genetycznym znaki dzielą się na kilka typów, między innymi ostatnie ogniewa ewolucji piktogramów oraz hybrydy kilku istniejących już znaków. Przykładowo kiedyś słowo shān, czyli góra, było po prostu symbolem pasma górskiego o trzech szczytach, dziś natomiast prezentuje się jako 山. Za to aby zobrazować czynność odpoczynku, zestawiono znak 人 (rén – człowiek) oraz 木 (mù – drzewo) i powstał 休 (xiū). Być może jeśli zrozumiesz, dlaczego dany znak tak wygląda i jakie elementy się na niego składają, łatwiej ci będzie go odtworzyć.

Twórz ilustracje. Do tego nie potrzeba nawet talentu malarskiego. Wystarczą trzy linie na krzyż jakkolwiek przypominające stół, ważne żeby obrazek kojarzył się od razu z 桌子 (zhuōzi). Oprócz pojedynczych przedmiotów możesz rysować całe sceny, na przykład fragment miasta pod nazwy instytucji, przekrój domu pod nazwy pokoi czy farmę pod nazwy zwierząt. Spróbuj także stworzyć schematy; zestawień przeciwieństw (np. nowy – stary, czysty – brudny) lub określić kategorie (np. cechy opisujące położenie czegoś w przestrzeni typu 前面 i 後面 [qiánmiàn – z przodu, hòumiàn – z tyłu]).

Poszukaj dodatkowych materiałów edukacyjnych. W dobie Internetu nie trudno o odpowiedź na niemal każde pytanie. Już wpisanie frazy „learning chinese” na Youtube czyni cuda. Znajdziesz tu videa pasjonatów, native speakerów oraz instytucji zajmujących się nauczaniem chińskiego – jedne w formie faktycznych wykładów, inne ciekawostek kulturowych. W razie gdyby sam Youtube nie wystarczał, możesz zaopatrzyć się w podręczniki edukacyjne. Bo kto powiedział, żeby ograniczać się do tego, co przerabia się na zajęciach?

Czytaj, oglądaj i słuchaj po chińsku. Wizyta w zoo to rozwijające doświadczenie, ale to nie będzie to samo, co obserwacja przedstawicieli tego samego gatunku w ich naturalnym środowisku. Analogicznie jest z językiem – praktycznie każdym. Spróbuj zatem poznać chiński w jego „naturalnym środowisku”. Piosenki, filmy, seriale, książki, komiksy – każde z tych źródeł pozwoli poznać właściwe brzmienie języka mówionego i/lub użycie znaków, a do tego stanie się przyjemną alternatywą dla dialogów wykreowanych na potrzeby tematu lekcji.

Żadna z tych metod do ciebie nie przemawia? W takiej sytuacji pozostaje tylko jedno:

Ćwicz, ćwicz, ćwicz! Trzeba pogodzić się z jednym – niczego się nie nauczysz, kompletnie nic nie robiąc. Postaraj się poświęcić chociaż godzinę w ciągu dnia na pisanie znaków. Wiem, powtarzanie w kółko i w kółko tej samej czynności nie jest przyjemne, ale jeśli nakreślisz jeden znak dziesięć razy, za jedenastym prawdopodobnie będzie to już impuls, nie przepisanie z notatek. A możliwość swobodnego pisania z głowy jest konieczna, by bez problemów napisać egzamin.

Teraz wszystko jest w twoich rękach. Powodzenia!



rys. Nela Rybak

TEKST: NELA RYBAK



graf. Agnieszka Frankowska

PORA POSKROMIĆ BESTIĘ IMIENIEM STRES

Z pewnością każdy z nas doświadczył tego charakterystycznego ukłucia w okolicach żołądka, zwiastującego przyspieszenie pulsu i spłycenie oddechu. Stres, mimo że pierwotnie niezwykle użyteczny, obecnie bardziej szkodzi niż pomaga. Mówimy o odczuciu, które wręcz wisi w powietrzu – w sposób stały, konsekwentny, zalewa nasz umysł i nasze ciało. Można go porównać do bestii siedzącej w naszej głowie, która pod wpływem określonych bodźców budzi się, a jej ryk z łatwością porusza określonymi komórkami naszego ciała, momentami doprowadzając nas do szału. W sytuacji, gdy po głowie obija nam się to nieznośne echo, można uspokoić potwora i położyć go do spania.; Ssęk jednak w tym, że nie każdy opanował ten proces. Mimo to, wierzę, że wszyscy jesteśmy zdolni do poczynienia postępu w tym zakresie.

Czy w ogóle warto się stresować? Odpowiedź brzmi: „to zależy”. Stres możemy podzielić na dwa rodzaje – dystres, czyli „negatywny stres” i eustres, czyli „pozytywny stres”. Niestety częściej doświadczamy dystresu, a więc rodzaju zaniepokojenia, które nas nagli. Eustres z kolei, pojawia się w związku z ekscytującym zdarzeniem -, przykładowo z podróżą. Ze względu na problematyczność i powszechność dystresu warto zwrócić uwagę na jego konsekwencje, czyli cały zestaw chorób – zarówno fizycznych jak i psychicznych. Czy naprawdę musimy na to pozwalać?

Skąd się bierze stres? Pytanie może się wydać głupie, bo przecież gdy stresujesz się egzaminem, to stres wziął się z egzaminu, jednak myślę, że jest to bardziej zawiła kwestia. Zauważmy, że niektóre osoby doświadczają w życiu wielu stresorów, z którymi potrafią sobie radzić. Prawdopodobnie mówimy tu o osobach o wysokiej inteligencji emocjonalnej, które opanowały sposoby na uspokojenie bestii. Mamy też ludzi, którzy nie potrzebują silnego bodźca, żeby się zacząć stresować. Czy ten sam egzamin stresowałby te dwie grupy osób tak samo?

Okej, więc jak się uspokoić w gonitwie myśli, obowiązków i braku czasu?

Pierwszym krokiem jest myślenie. Rozmowa z samym sobą. Na etapie, w którym orientujemy się, że się stresujemy (co wbrew pozorom nie zawsze jest takie łatwe) dobrze jest odpowiedzieć sobie na parę pytań, jak: co wywołało moją reakcję, jakie to coś niesie dla mnie skutki i czy jakoś przez nie przebrnę – w skrócie – czy naprawdę są one dla mnie takie poważne. Wiele osób ma tendencję do zamartwiania się mało istotnymi rzeczami. Warto także szybko nakreślić w swojej głowie scenariusz, którym „nie udaje się” skonfrontować z możliwością porażki. Jeśli wisi nad nami nieprzyjemna, ale znośna alternatywa, nie powinno być tak źle. Nikt nie lubi zaliczać egzaminów w drugim terminie, ale czy to koniec świata? Kolejne pytania, które warto rozważyć dotyczą sensu samego stresu. Czy twój strach pomoże w aktualnej sytuacji? Czy to bezwładne rozrzucanie się twoich myśli ci pomoże? Jaki wpływ ma stres na wykonywane przez ciebie zadanie? Pamiętaj, żeby mieć kontrolę nad swoimi emocjami na tyle, na ile się da. Nie zapominaj o tym, żeby nie przestać wierzyć w swoje możliwości i akceptować swoje uczucia. To nic złego odczuwać smutek czy strach i sam fakt doświadczania tych emocji nie powinien cię dodatkowo stresować. Gdy widzisz, że masz do czynienia z sytuacjami, które cię przerażają postaraj się – jeśli masz taką możliwość – wyeliminować źródło stresu.

Stres można ujarzmić rozmową z kimś bliskim. Nie musi tu chodzić o pomoc w rozwiązaniu problemu, ale o zwykłe wsparcie – myśl, że będąc w trudnej sytuacji możesz to wszystko z siebie wyrzucić.

Jeśli jesteś tym co jesz, bądź wodą. Picie wody, mimo że głupio brzmi, faktycznie pomaga ze stresem. Tak samo jak zielona herbata. Staraj się jeść lekko i zdrowo, dlatego, że jedzenie wpływa na ogólne samopoczucie, podobnie jak aktywność fizyczna. Nie miej oporów przed wyładowaniem się w sporcie. Żyj zdrowo i pożytecznie.

TEKST: SARA SZALEWSKA



fot. Michał Buddabar

W INNYM SPOJRZENIU - WYWIAD Z MICHAŁEM BUDDABAREM

Genialny fotograf analogowy, swoimi zdjęciami inspirował mnóstwo fotografów w Polsce i nie tylko. Ale przede wszystkim ciepły człowiek, który swoim szacunkiem do osób portretowanych ośmiela ich do pokazania swojego wnętrza. Mam zaszczyt rozmawiać z Michałem Buddabarem, człowiekiem, który tworzy zdjęcia dla ludzi, a nie pod publikę.

Kiedy zacząłeś się interesować fotografią i jak wyglądały Twoje początki?

Witam serdecznie, nigdy nie interesowałem się fotografią, nie rozumiałem jej, dla mnie zdjęcie było zdjęciem. Pamiątką. Ale coś się zmieniło w moim życiu. Poznałem ciekawą kobietę, jej pasją była fotografia. Fotografowała starym radzieckim Kievem 88. Chciałem jej zaimponować, jak to facet niskich lotów, pomyślałem - kupię sobie aparat. Udałem się do marketu, kupiłem sobie cyfrową lustrzankę z dwoma obiektywami, pojemną kartę pamięci, jak na tamte czasy (rok 2008) wydałem ponad sześć tysięcy złotych i pomyślałem - jesteś moja.

Jednak jakoś aparat nie zrobił na niej wrażenia, więc mówię: "chodźmy na zdjęcia, pokażę Ci możliwości nowoczesnego aparatu, a nie tam takiego bzdurka jak jakiś stary radziecki aparat". To był sierpień, piękne lato. Marta załatwiła modelkę do zdjęć, udaliśmy się na opuszczone działki rekreacyjne. Widziałem jak „męczyła” się długo nad kilkoma ujęciami, żal mi było jej. Mówię, żeby spojrzała, jakie możliwości daje nowoczesny aparat. I zrobiłem oczywiście na ustawieniu automatycznym w ciągu około 10 minut ze 300 zdjęć. Po tym uznałem ją za bardzo zimną kobietę. To również nie zrobiło na niej wrażenia. Udaliśmy się do domu, po drodze wywołała w labie negatyw. W domu zeskanowała negatywy, ja zgrałem kartę do komputera i zrozumiałem, dlaczego jej nie zaimponowałem. Szybko na allegro zakupiłem Kiev 88, takiego samego jak miała. Śmiała się ze mnie, że myślę, iż Kiev sam zrobi mi zdjęcia. Udaliśmy się na kolejną sesję. Wyszło mi tylko jedno zdjęcie, bo honorem się uniosłem, że nie zapytam jej o nic w kwestii obsługi aparatu. Po prostu robiłem zdjęcia na ustawieniach, na których kupiłem ten aparat. Ja załatwiłem modelkę, ona modelkę. Po wywołaniu filmu byłem załamany - jedno zdjęcie tylko? Marta zeskanowała ten negatyw i była w szoku. Mówi: "Opublikuj to". Opublikowałem i wszędzie to zdjęcie wyróżniono. To mnie pociągnęło do tej wielkiej pasji, która stała się zawodem.

Na wstępie chciałbym Cię zapytać, jak opisałbyś siebie? Powiedzmy w dwóch zdaniach.

Mhmm to trudne dla mnie, bo sam się zastanawiam, czy ja naprawdę jestem fotografem, czy tylko poprzez aparat fotograficznym pokazuję, jak postrzegam ludzi. Chyba bardziej to drugie.

Od początku była to fotografia portretowa czy może na samym wstępie fotografowałeś coś innego?

Pierwsze były akty tak naprawdę i praktycznie zazwyczaj przez przypadek. Moje pierwsze portrety okazały się bardzo udane. Jedno ze zdjęć od razu trafiło na okładkę magazynu "Charaktery". „Mój szewc” powstał, kiedy oddawałem buty do szewca. Zdjęcie te również zdobyło wiele wyróżnień. Ten sukces mnie ciągnął do przodu, był paliwem. Pokochałem portret, dlatego staram się pokazywać ludzi jakby ich kochał. Zresztą ja kocham ludzi.

Podchodzisz bardzo skupiony do robienia zdjęć. Bardzo przyjemnie się to ogląda. Wyglądasz wtedy jak drapieżnik polujący na swoją ofiarę. Nie wykonujesz zbędnych ruchów, jesteś oazą spokoju i wiesz dokładnie, co chcesz osiągnąć. Jednocześnie okazujesz niespotykany szacunek modelowi/modelce. Powiedz, przyszło Ci to w sposób naturalny czy rozwinąłeś to wraz z robieniem coraz to większej ilości zdjęć?

Od samego początku. Piękno musi istnieć we mnie, inaczej nie powstanie piękna fotografia. Najpierw byłem bardzo nieśmiały, więc to było bardzo naturalne. Chyba ta moja nieśmiałość ośmielała osoby przed obiektywem. Ludzie, którzy stają przed moim obiektywem, obdarzają mnie zaufaniem. Nie mogę ich zawieść. Pokazuję ich w taki sposób, w jaki sam, będąc nimi, chciałbym być pokazany. Czasami pokazuję ich wnętrza, jeśli do niego dotrę. Im bardziej osoba mi zaufa, tym bardziej się przede mną otworzy. Kocham to.

Twoja fotografia jest pełna sprzeczności. Oczywiście w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Gdy patrzę na Twoje fotografie, mam dwojakie odczucia, z jednej strony czuję subtelny erotyzm płynący z Twoich aktów, z drugiej pewien niepokój, który nasila się gdy patrzę dłużej na zdjęcie. Czuję, jakby coś miało się zaraz stać i przeraża mnie to, ale jestem ciekaw, co to będzie. Powiedz mi, jak osiągasz taki efekt w swojej fotografii?

Myślę, że moja głowa jest pełna erotyzmu, a najpiękniejszy erotyzm to delikatny erotyzm. Dlatego ta moja fotografia aktu jest zawsze otwarta dla umysłu. Sceny jakby niedokończone, niedopowiedziane, pobudzają głowę do zatrzymania się nad fotografią, łechcą umysł i chcą więcej. Oczywiście to mój punkt widzenia tego.

Wielu ludzi (w tym ja) boi się zacząć fotografować analogowo z powodu takiego przeświadczenia, że fotografia analogowa jest trudna do przyswojenia. Poczynając od procesu robienia zdjęć, kończąc na wywoływaniu. Powiedz mi, czy rzeczywiście jest to takie trudne?

Ja, mając już jakieś doświadczenie, mogę śmiało powiedzieć, że to fotografia cyfrowa jest trudniejsza. Jakość obrazu jest płaska, za dużo dziwnych i niepotrzebnych opcji. Fotografia analogowa jest łatwiejsza, ale zmusza do myślenia przed naciśnięciem migawki, bo ma ograniczenia w postaci ilości klatek. Dlatego wtedy więcej serca wkładamy w obrazy. Delektujemy się tworzeniem fotografii. Na poprzedniej stronie zdjęcie z aparatu analogowego wartego 150zł. Czysty skan. Ile musi kosztować aparat cyfrowy, by mieć już taki efekt w rawie? I czy jest taki?

Co najbardziej lubisz w fotografii i czego najbardziej nie lubisz?

W fotografii lubię spokój. Bez taniego grania na emocjach. Aparat fotograficzny jest nie tylko przedłużeniem oka, ale również umysłu. Wzrok ma wysłać impuls do umysłu. Najpiękniejsza fotografia to ta, która pokazuje więcej niż widzi nasze oko. Czego nie lubię? Sztampowych fotografii, ale o niej nawet szkoda pisać.

Mógłbyś przywołać jakieś anegdoty z Twoich sesji?

Jest ich bardzo wiele, może najdziwniejsze są te, kiedy zaczepiam ludzi na mieście, pytając ich czy mógłbym zrobić im zdjęcie. Jestem wielki facetem, dziwię się tym ludziom tak naprawdę, że nie uciekają przede mną. Ale kiedyś trafiłem na twardziela. W Izraelu podszedłem do bezdomnego, rosnącego faceta. Zapytałem łamaną angielszczyzną czy mogę zrobić mu zdjęcie. Odpowiedział mi po polsku – a na c*** ci? Więc ja odpowiedziałem mu po polsku, że kocham fotografować ludzi. Wtedy się przestraszył, że go zrozumiałem. Okazało się, że to człowiek, który ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości z Polski i 15 lat żyje na ulicy Tel Avivu. Można by wiele opowiadać. Po rozmowie zgodził się na zdjęcie.

Jak myślisz, gdybyś nie poszedł w kierunku fotografii, gdzie byś się dzisiaj znajdował, co robił, jakim człowiekiem byś był?

Wszystko, co robiłem w życiu, robiłem z pasji. Sam się nauczyłem grafiki, otworzyłem specjalistyczną drukarnię. Do tej pory ją prowadzę, ale powoli wygaszam. Skupiam się na fotografii, na życiu, rodzinie. Gdyby nie fotografia, pewnie bym dalej drukował. Pasją też były samochody, więc kiedyś nimi handlowałem. Teraz to już nie jest dobry czas na handel samochodami.

Skąd czerpiesz inspiracje?

Głównie z życia, z tego co widziałem. Czytam dużo fotografii – co przez to rozumieć – dużo jej oglądam. Sztuki obrazu, filmu, rzeźby. Sposobu jak inni patrzą, aby to pokazać inaczej. Również z memów, ze śmiesznych filmików. To świetne źródło, same tematy poruszane w nich inspirują.

Jakich porad udzieliłbyś ludziom, którzy dopiero rozpoczynają swoją przygodę z fotografią? Czego powinni się przede wszystkim wystrzeżać?

Nie przekraczajcie w trakcie sesji 30 zdjęć. Tylko szacunek dla klatki najszybciej robi z Was fotografów. Publikujcie zdjęcia. Także interakcja może wiele Was nauczyć, w jaki sposób najlepiej dotrzeć do człowieka. Fotografia powinna prowokować umysł i nie pokazywać tego, co jest już znane. W fotografii jest najważniejszy proces twórczy, a nie techniczny. Często, zmieniając aparaty, myślicie, że zrobicie lepsze zdjęcia, a to nie jest prawda. Producenci wciskają Wam kit. Dopiero jak poznacie swój aparat, skupicie się, będziecie potrafili zrobić dobrą fotografię bez podglądania. A każdym aparatem można zrobić dobrą fotografię. Fotografia musi mieć ludzki wymiar, zachowany realizm. Ludzie muszą wyglądać naturalnie. To tak najprościej.

Na zakończenie pragniemy wraz z Michałem zaprosić serdecznie na warsztaty fotograficzne, które prowadzi "W innym spojrzeniu".



fol. Mateusz Mika



graf. Weronika Roj

CERTYFIKACJA NA RYNKU CZEKOLADY – CZY JEST SKUTECZNA?

Rynek czekolady rozwija się w dynamicznym tempie. Niemal każdy jest jego aktywnym uczestnikiem. Ilu z nas zwraca uwagę na certyfikaty widniejące na opakowaniach produktów? Ilu z nas jest świadomych, co certyfikacja oznacza i czy faktycznie jest skuteczna?

Kakao – główny składnik czekolady i produktów czekoladowych – pozyskiwany jest w tropikalnych regionach krajów słabo rozwiniętych gospodarczo. Głównymi eksporterami surowca (ponad 70% w skali światowej) pozostają dwa afrykańskie państwa: Ghana oraz Wybrzeże Kości Słoniowej. Z kolei największe ilości kakao (ponad 60%) pozyskuje Europa. Szacuje się, że przeciętny Polak spożywa aż 4,6 kg czekolady rocznie.

Dlaczego certyfikacja na rynku czekolady istnieje?

Powodów jest mnóstwo. Do najważniejszych z nich należą: nielegalne praktyki handlowe, niestabilna sytuacja finansowa rolników, praca dzieci, niegodne warunki pracy, intensyfikacja i mechanizacja rolnictwa, wypalanie lasów, nadmierne używanie chemikaliów, zanikanie bioróżnorodności. Nabywcy, z uwagi na ogromną siłę przetargową, wymuszają na rolnikach niskie ceny surowców, co prowadzi do obniżenia poziomu życia afrykańskich rodzin i konieczności zatrudniania do pracy dzieci. Z kolei stale zwiększający się popyt na ziarna kakao prowadzi do nadmiernego niszczenia środowiska.

Certyfikacja umożliwia zatem rolnikom osiągnięcie wyższego dochodu, zapewnia edukację dzieciom czy chroni środowisko naturalne przed nadmierną eksploatacją. Główne jednostki certyfikacyjne na rynku czekolady to: Fairtrade, Rainforest Alliance i UTZ Certified. Kojarzysz? Zwracasz uwagę? A może świadomie takie produkty kupujesz?

Czy certyfikacja jest skuteczna?

Certyfikacja na rynku czekolady przyczyniła się do podniesienia standardu życia lokalnych społeczności, biorąc pod uwagę aspekty ekonomiczne, społeczne i środowiskowe. Niemniej jednak, wielu rolników wciąż nie wie, co certyfikacja oznacza, mierzy się z kosztami przystąpienia do programu lub w ogóle się do niego nie kwalifikuje.

Z drugiej strony, kupując produkt czekoladowy oznaczony certyfikatem, wciąż nie mamy pewności czy afrykańskie społeczności faktycznie z takiej pomocy korzystają. Koncerny czekoladowe nie są w stanie zagwarantować w 100%, że główny składnik ich produktów pochodzi z certyfikowanych upraw. Co więcej, mimo zaangażowania w działalność społecznie odpowiedzialną, zyski firm są wciąż ważniejsze od godnego życia pracowników plantacji. Warto podkreślić, że koncerny „rezygnują” z pracy dzieci na plantacjach już od dekady.

Jak w takim razie zagwarantować pomoc rolnikom i ich dzieciom? Czy certyfikacja faktycznie jest dobrym systemem? Fairtrade, jako jednostka certyfikacyjna wymaga, aby czekolada w ostatecznym składzie zawierała minimum 20% certyfikowanego kakao. Czy to wymaganie nie jest aż zbyt małe?

Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o sytuacji panującej na plantacjach kakaowca, polecam następujące dokumenty: *The dark side of chocolate* i *Shady chocolate*. Jedno z dzieci pracujących na plantacjach niegdyś powiedziało: *They are enjoying something that I suffered to make*. Czy po usłyszeniu takich słów nadal czerpiesz radość z jedzenia czekolady?

TEKST: MANUELA ROJ



graf. Shadow Of The Tomb Rider

ŚLADAMI TRÓJCY

„Shadow of the Tomb Raider” to kolejna jakże ciekawa odłona przygód słynnej archeolog Lary Croft, będąca zarazem zwieńczeniem odświeżonej trylogii. Tym razem twórcy zabierają nas do Ameryki Południowej, gdzie w tamtejszej dżungli, pełnej starożytnych ruin, główna bohaterka stara się rozwiązać zagadkę pewnej sekty, odpowiedzialnej za śmierć jej ojca. Czy i tym razem misja się powiedzie?

Akcja „Shadow of the Tomb Raider” toczy się niespełna dwa miesiące po wydarzeniach z drugiej części trylogii. Lara Croft wyrusza do Ameryki Łacińskiej, gdzie oprócz eksploracji peruwiańskiej dżungli, mamy możliwość odwiedzić starożytne miasto Paititi, osadzone z dala od jakichkolwiek cywilizacji. Celem misji jest rozwiązanie zagadki Zakonu Trójcy, jednak wraz z upływem fabuły priorytety ulegają zmianie. W trakcie swojej podróży Lara niechcący doprowadza do rozpoczęcia majańskiego apokalipsy, co ostatecznie zmuszają do odnalezienia majańskiego artefaktu i próby ocalenia świata. Jak się z czasem okazuje, zadanie wcale nie będzie takie proste gdyż, wspomniany przedmiot poszukuje także tajemniczy Zakon Trójcy.

W początkowych fazach rozgrywki można jednak odnieść wrażenie, że wciąż znajdujemy się w poprzedniej części gry. Znaczący wpływ na tego typu odczucia z pewnością mają powtarzające się schematy z których można wyróżnić chociażby tradycyjny arsenał jak i podobny zakres umiejętności głównej bohaterki. Wbrew pozorom, wraz z postępem fabuły, powyższe odczucia połowicznie znikają. Dzieje się tak za sprawą oddziaływania wielu immersyjnych elementów zaczynając od wszelako rozumianej grafiki, a kończąc na powrocie do korzeni w postaci eksploracyjnej formuły rozgrywki. Grafika w dużej mierze wyróżnia się ostrymi teksturami, niepowtarzalnym klimatem otaczającej dżungli, a także drobnymi detalami do których można zaliczyć m.in. efekt cząsteczkowy (zbiorniki wodne i błoto wyglądają bardzo realistycznie), dobrze odwzorowaną dziką zwierzynę, czy zapierające dech w piersiach widoki. Na szczególną uwagę zasługuje

(po raz pierwszy dodana do gry) możliwość nurkowania, która jak się później okazuje, staje się przydatna zarówno w kampanii jak i przy penetracji grobowców. Podwodne lokacje umiejscowione w rozgrywce, pełne wąskich szczelin, u jednej osoby byłyby w stanie wywołać klaustrofobię. Ponadto twórcy pokusili się o dodanie drzewka umiejętności, do którego zbieramy punkty XP zarówno za walkę z wrogami jak i wykonywanie misji oraz zadań pobocznych. Zdobyte punkty można wymieniać na nowe umiejętności jakie w momencie odblokowania nasza główna bohaterka nabywa. Wspomniany system walk również uległ drobnym modyfikacjom. Ostatnia część trylogii, w stylu Sama Fishera z popularnej serii „Splinter Cell” nastawiona jest na walkę z ukrycia. W tym celu Lara Croft może m.in. chować się w zaroślach czy kamuflować się za pomocą pokrycia ciała błotem. Całość trybu zwieńcza włączenie specjalnego instynktu, za sprawą którego jest w stanie ustalić, jak najlepiej zabić poszczególnego wroga, aby nie zostać wykrytą. Ponownie mamy do czynienia z półotwartym światem gdzie prócz wątku fabularnego, charakterystyczne dla rozgrywki pozostają zagadki umieszczone w klimatycznych grobowcach oraz stosunkowo łatwe misje kurierskie. Największą wadą gry okazują się niespodziewanie co niektóre dialogi, za sprawą których immersja zostaje lekko zachwiana. Peruwiańczycy mówią po hiszpańsku, Indianie w swoim rodzimym języku, natomiast Lara po angielsku. W sumie nic w tym dziwnego, poza tym że wszyscy bez żadnego problemu są w stanie się nawzajem porozumiewać.

„Shadow of the Tomb Raider” to bez wątpienia godne zwieńczenie całej trylogii. Sama gra okazała się bezpieczną kontynuacją serii, bez specjalnych nowości czy tym bardziej rewolucji. Z całą pewnością można stwierdzić że twórcy wycisnęli z projektu „Tomb Raider” wszystko co mogli, natomiast dalsza kontynuacja nie miałaby żadnego logicznego sensu. Niech seria zostanie dobrze zapamiętana, jako przyjemna gra przygodowa, na długie wieczorne godziny.



graf. Ewelina Bienias

WIECZÓR Z MORDERCĄ, CZYLI TOP5 KRYMINAŁÓW I THRILLERÓW

Wielkimi krokami zbliża się zima, a zatem i czas najdłuższych i najchłodniejszych wieczorów, kiedy jedynie, na co ma się ochotę, to zaszyć się pod ciepłym kocem z kubkiem gorącej herbaty i zapomnienie o całym świecie. Jak urozmaicić sobie te senne, ponure dni? Rada jest dosyć prosta – sięgnięcie po dobry kryminał lub thriller. Czytanie książek pomaga się zrelaksować, wyciszyć i zapomnieć o wszystkich zmartwieniach z całego dnia. Gdy uda się nam dotrzeć do dobrego kryminału, można być pewnym, że przez jego mocny i prosty język, cięty humor, świetną atmosferę i przede wszystkim nie pozwalającą na oderwanie się od niego akcję, wieczór z nudnego i ponurego, zmieni się w ciekawy i przepętiony rozrywką. Jednak na półkach w księgarniach można znaleźć zarówno te doskonałe, jak i mniej interesujące pozycje – którą więc wybrać? Z tego względu postanowiłam zebrać tu najlepszą piątkę przedstawicieli tego gatunku, które na pewno was nie rozczarują.

1. Fiodor Dostojewski „Zbrodnia i kara”

Pozycja bliżej lub dalej znana chyba każdemu. Rodion Raskolnikow to biedny student, z racji tego, że stara lichwiarka jest dla niego bardziej złodziejką niż kobietą interesu, postanawia – myśląc, że robi to dla dobra ludzi – zabić ją. Nie spodziewa się jednak, że przy okazji zamorduje prócz niej jeszcze jej ciężarną siostrę. Po dokonaniu tego czynu, Rodion mocuje się z własnymi myślami i stara się ukryć swą zbrodnię, choć z każdą kolejną stroną jego serce powoli mięknie. Wyjątkowość tej książki stanowi to, że świetnie ukazuje postawę samego mordercy, to, jakimi wartościami (lub też ich brakiem) się kieruje, co go popycha do tego, by dopuścić się zbrodni, ale przede wszystkim idealnie odzwierciedla myśli zbrodniarza, który siłuje się z wyrzutami sumienia starając się ich wyprzeć.

2. Charlotte Link „Ostatni ślad”

Autorka ta jest moją ulubioną – jej książki kupuję w ciemno, nie czytając opisu z okładki. Po prostu wiem, że wszystko, co wychodzi spod pióra Charlotte Link będzie genialne i niesłychanie dobre. Rosanna Hamilton postanawia napisać artykuł o nierozwikłanych zagadkach kryminalnych. Największą uwagę skupia na sprawie zaginięcia swej przyjaciółki Elaine sprzed pięciu lat. Z powodu mgły lot Elaine został odwołany, nie mając gdzie się podziać przystała na propozycję młodego i atrakcyjnego mężczyzny, aby przenocować w jego mieszkaniu. Po opuszczeniu jego mieszkania wszelki ślad o kobiecie zaginęła, a policja dosyć szybko zrezygnowała

z poszukiwań. Rosanna poznaje tego mężczyznę, u którego przyjaciółka nocowała i z jego pomocą odkrywa znak świadczący o tym, że Elaine żyje. Zakończenie tej historii jest tak zaskakujące, że szczęka opada niżej niż ktokolwiek by się spodziewał.

3. Nele Neuhaus „Śnieżka musi umrzeć”

Po dziesięciu latach wychodzi na wolność Tobias Sartorius – morderca dwóch nastolatków. Mężczyzna cały czas upiera się, że to nie on zabił. Tymczasem na starym lotnisku zostają odnalezione ludzkie kości, niedługo potem ktoś spycha kobietę z kładki dla pieszych. Nadkomisarz Oliver von Bodenstein i komisarz Pia Kirchhoff rozpoczynają śledztwo obu spraw. Wszystkie poszlaki sprowadzają ich do Tobiasa Sartoriusa. Jednak w miarę upływu czasu i rozwiązywania coraz to bardziej zawiłych tajemnic wszystko wskazuje na to, że to jednak nie Tobias był sprawcą zbrodni sprzed dziesięciu lat... Lecz skoro nie on, to kto? Kryminał na najwyższym poziomie, trzymający w napięciu i pełen zawiłych zagadek, z których każda stanowi mały element wielkiej i trudnej układanki.

4. Eva García Sáenz de Urturi „Cisza Białego Miasta”

Ten hiszpański kryminał to konkretna dawka nierozwikłanych tajemnic. Miastem wstrząsa zbrodnia, która jest ludzko podobna do fali morderstw sprzed dwudziestu lat. Co ciekawe – sprawca tamtejszych zabójstw ma wyjść z więzienia na przepustkę. Jak to się stało, żeby rytuał, polegający na zamordowaniu kobiety i mężczyzny, których wiek kończy się na pięć lub zero, położeniu ich nago naprzeciw siebie i położeniu ręki na policzku drugiej osoby, może być niemal identyczny, skoro jego pomysłodawca odsiaduje wyrok? Tego próbuje dowiedzieć się Unai López de Ayala, choć jego metody nie podobają się jego szefowej Albie, z którą utrzymuje niedwuznaczne relacje... Sylwetka mordercy została tu dopięta na ostatni guzik, a czytanie książki może sprawić, że nie zaśniemy, póki nie przeczytamy ostatniej strony...

5. Zygmunt Miłoszewski „Ziarno prawdy”

Choć rzadko zdarza mi się czytać polskich autorów, tę pozycję zdecydowanie polecam. Morderstwo w słynnym Sandomierzu, konkretna dawka żydowskich, przedwojennych legend i rytuałów, świetna lekcja historii, niezliczona ilość średniowiecznych kodów i przede wszystkim ogrom emocji – to właśnie serwuje nam Zygmunt Miłoszewski. Komisarz Teodor Szacki stanie przed niełatwym zadaniem, które polega na rozszyfrowaniu kodu mającego korzenie w żydowskiej tradycji, aby trafić na trop mordercy. TEKST: ANNA LALA



graf. Natalia Gabriel

SONDAŻ: NAJBARDZIEJ NIETRAFIONY ŚWIĄTECZNY PREZENT

Miło jest dzielić się prezentami, jednakże nie zawsze udaje nam się idealnie trafić w gust, czy spełnić oczekiwania i wtedy też wielka ekscytacja, która towarzyszyła nam podczas otwierania pudełka z wielką kokardą, czy przy zrywaniu papieru w renifery, zmienia się w rozczarowanie ukrywane pod grymasem świątecznego uśmiechu.

Jakie najbardziej nietrafione prezenty otrzymali studenci naszego Uniwersytetu?

Kiedyś zepsułam walizkę, więc nie miałam do czego spakować rzeczy. Było to chwilę przed świętami i dostałam w prezencie... walizkę. W środku było parę słodyczy. Liczyłam na coś bardziej, może nie sentymentalnego, ale... czegoś, co mogłabym inaczej wykorzystać. – *Aisza*

Najbardziej nietrafiony prezent to gra na PS4, którą już miałem. Na szczęście udało się to odkręcić, bo ta osoba miała rachunek z Media Marktu, więc można było wymienić na coś innego. Każdy zadowolony. – *Michał*

Kiedyś dostałam parasolkę. Była koronkowa i to jest bardzo bezużyteczna rzecz. – *Julia*

Chyba kiedyś dostałam kolczyki, a nie mam przebitych uszu. – *Maria*

Może to nie do końca nietrafiony prezent, ale dostałam kolejny tom mojej ukochanej serii pod choinkę... ze złą wersją okładki. Teraz z tych sześciu tomów nie pasuje mi tylko jedna i strasznie mnie to irytuje. Moja mama myślała, że okładka jest bez znaczenia, ważna jest książka, ale mnie to jednak trochę boli, bo nie wygląda tak dobrze na półce. – *Natalia*

Gra planszowa "Operacja", bo trochę mnie brzydzą ludzkie wnętrzności. – *Kamila*

Kiedyś się rozplakałam, jak dostałam pod choinkę szlafrok. To był najlepszy szlafrok, jaki miałem w życiu, ale wtedy chciałem jakieś gry... – *Maciek*

Prezent od siostry, czyli mydło Biały Jeleń. Poczuję się, jakby to była sugestia, że mam się myć. – *Dawid*

Dostałam perfumy o zapachu, którego nie lubię. Dałam koleżance, bo się jej spodobał. – *Karolina*

Grudzień

Niedziela

Poniedziałek

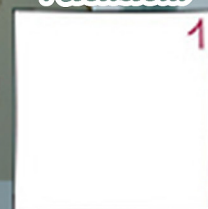
Wtorek

Środa

Czwartek

Piątek

Sobota



3
Spotkanie z Romą Gąsiorowską i Sylwią Stan

4
Improwizowany Show! Komedia improwizowana



6
60-lecie Plastycznika

7
Narodowy Balet Kijowski, Dziadek do orzechów



9
Spotkanie z konsulem-Work&Travel US, Camp USA



12
Karaoke Night w Piwiarni Staromiejskiej



14
Koncert Tymański/Ciechowski

15
Zakończenie World Press Photo Exhibition

16
Deutsch mit Lisa (B1/B2)

17
English with Gustaw

18
L'Italiano con Milena (B1/B2)



20
Premiera serialu pt. Wiedźmin na platformie

21
Egyptian Arabic throught songs Abdelrahman



24
Wigilia Bożego Narodzenia

25
Boże Narodzenie



28
FLUO PARTY na Trampolinach



30
Poniedziałkowe Dobre Granie Ekstra w Radiu Opole

31
Marvel Super Heroes – Sylwester w Kofeinie 2.0

OTWARTA SKRZYNIKA

Jest coś, co Cię nurtuje, temat, o którym chciałbyś przeczytać? Napisz nam o tym, a my przyjrzymy się sprawie!



@GazetaStudenckaUO



@gazetastudencka



gazetastudencka.uo@gmail.com